



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z ŻYCIA OWADÓW.

Pszczółka mularka.



U rządzenie plastrów miodowych i cała robota domowych pszczoł naszych, jakkolwiek zadziwiająca, spowszedniała już ludziom, bo ciągle na nią patrzą; wolimy więc opowiadać wam o innych owadach, mniej znanych, bo nie przynoszą człowiekowi żadnego pożytku, a jednak zasługujących na uwagę z powodu nadzwyczajnego swego dowcipu. Niewielka to sztuka schwytać motyla lub żuka, przekłuć go szpilką i przyglądać

właśnie rzecz najciekawsza. Ludzie, miłujący przyrodę, nie poprzestają na zbieraniu i klasyfikowaniu owadów, lecz śledzą je pilnie w stanie swobody, dowiadują się, czém one się żywią, co robią, jak zapewniają wygodę i bezpieczeństwo swojego potomstwa. A niełatwa to sprawa podpatrzeć takie drobne, ruchliwe stworzenia, które nie rozumieją tego, że ludzie uczeni dla dobra nauki im dokuczają, i często wśród najbardziej zajmujących spostrzeżeń rozwijają skrzydełka i odlatują daleko. Ile to nieraz czasu, ile trudu poświęcić musi przyrodnik, ażeby wykryć jakąś tajemnicę owadu, lecz jakież tryumf, jaka radość, gdy ją zdobędzie наконец, gdy nowy, nieznany szczegół zaznaczy.

Pewien uczony francuzki, Fabre, autor dzieła niezmiernie zajmującego o owadach, opisuje różne zabawne zdarzenia, które go spotykały podczas wycieczek naukowych. Raz na przykład kobiety wiejskie, widząc, jak godzinami całemi siedział nieruchomo na upale, lub leżał w trawie na czatach, wzięły go za obłąkanego i głośno wyrażały litość swoją nad biedakiem, który bawi się, jak małe dziecko, widokiem błyszczących owadów. Parę razy znów strażnicy leśni i polowi podejrzewali go o różne nieczne zamiary i podczas gdy szpiegowali jakąś oś, oni znów jego szpiegowali, ażeby nie wykradł czasem zwierzyny lub drzewa. Gdy zaś usiłował ich uspokoić, objaśniając, w jakim celu włóczy się po okolicy, wzrúszali na to ramionami i uśmiechali się w taki sposób, jakby chcieli powiedzieć: Kto by to w takie bajki uwierzył!

Autor ten w młodości swój był nauczycielem w szkole ludowej. Dnia pewnego wykładał uczniom geometryę pra-

się bez przeszkody martwym już szczątkom. Takim sposobem poznamy tylko powierzchowność owadu, obejrzymy wyprawdzie najdokładniej jego skrzydełka, łapki, rożki, lecz nie dowiemy się nic zgoła o obyczajach i sposobie życia, a to

ktętną na świeżem powietrzu, kazał im wykonywać pomiary małej kamienistej równinki i zauważył, że chłopaki często zatrzymywali się po drodze z głową pochyloną, oglądając coś na ziemi. Spostrzegł wreszcie, jak jeden poniósł do ust konicie słomki, a gdy zapytał, co to znaczy, chłopiec objaśnił nieśmiało, że w tém miejscu gnieźdzą się na kamykach czarne, dzikie pszczoły, które robią miód, troszkę cierpki co prawda, ale zawsze dający się jeść, choćby tylko dla osobliwości. Nauczyciel, mało co starszy od uczniów, zakosztował także tego przysmaku, więcéj jednakże od miodu zaciekawił go przemysłny owad, gnieździący się na kamykach, rozsypanych pośród łączki. Chcąc tę ciekawość zaspokoić, poświęcił miesięczną pensją na kupienie książki o owadach z pięknymi rysunkami i tak się w téj nauce rozmiłował, że i sam w wolnych chwilach zaczął się przypatrywać bliżéj obyczajom tych drobnych istot; wykrył też z czasem mnóstwo szczegółów nowych z życia téj pszczoły mularki, której miodu zakosztował wraz z chłopcami wiejskiemi.

Pszczoła mularka, w terminologii naukowej *Chalicodoma muraria*, znacznie się różni od domowej, i powierzchownością, i obyczajami. Samica jest czarna, jakby aksamitna, o skrzydełkach ciemno-fioletowych, samiec wygląda odmiennie, zamiast czarnej aksamitnej, ma sukienkę brunatną, czerwonawą. Niema pomiędzy niemi owych pszczołek roboczych, które gospodarują w naszych pasiekach, skrzętnie miód gromadząc dla potomstwa jedynéj w ulu królowej-matki, każda samica mularka musi sama o swoich dzieciach pamiętać. Gdy więc nadchodzi pora znoszenia jaj, na wiosnę, zabiera się do roboty. Niedarmo też otrzymała nazwę mularki, gniazdo jéj prawdziwą jest mularską robotą. Pszczoła ta wyjątkowo tylko w niektórych okolicach kamienistych sadowi się na kamykach, leżących na ziemi; zwykle przylepia swoje budowle do starych, opuszczonych murów, wystawionych na południe. Nasza mularka wyrabia z ziemi komórkę miodową która wygląda jak naparstek, rozcięty przez środek w kierunku długości, nigdy jednak nie używa do tego błota gotowego, lecz bierze ziemię zupełnie suchą z gościńców zazwyczaj i rozmiękcza ją własną, klejką śliną, jakby wyborynym cementem. Po ukończeniu jednéj komórki, pszczoła zaczyna zbierać miód i pyłek z kwiatów, napełnia słodkim płynem przygotowaną rurkę, znosi w nią jedno jajko, i zatyka szczelnie kupką, takiejże ziemi rozmoczonéj. Załatwiwszy się z tém, buduje tym samym sposobem tuż obok drugą komórkę, potem trzecią, dochodzi czasem do dziesięciu, a w każdej jedno jajko umieszcza. Nakoniec całe to gniazdo przykrywa starannie grubą warstwą ziemi. Inny gatunek mularki, żyjący w okolicach nadśródziemnomorskich, gromadzi się w liczne towarzystwa, pszczołki budują jedne obok drugich, można tam nieraz na zwaliskach murów napotkać gniazda, zajmujące parę metrów kwadratowych.

Mularka nie opiekuje się swojém potomstwem, tak jak pszczoła domowa; gdy nagromadzi miodu w komórkach i zamuruje w nich jajka, nie troszczy się o nie więcéj. Gąsieniczki, które się z tych jajek wykluwają, doskonale sobie radzą bez matek; najpierw chciwie zjadają miód, rosną i siłę nabierają, a gdy wypróżnią spiżarnią, snują sobie oprzęd, nie tak piękne i misterne, jak kokony jedwabników, ale wygodne, i usypiają w tych kolebeczkach, zabezpieczonych mocnym murem od zimna i wichrów. Z pierwszą wiosną owad wykształcony przebija oprzęd, następnie przedziurawia bar-

dzo zrzęcznie sufit swojego mieszkania i wydobywa się na swobodę. Nowe pokolenia najczęściej dziedziczą gniazda po matkach i gdy przyjdzie pora znoszenia jaj, poprawiają tylko też same komórki, napełniają je miodem, i własne potomstwo w nich sadowią.

Francuz Fabre, o którym wspominaliśmy wyżej, urządził nadzwyczaj ciekawe i zajmujące doświadczenia z mularkami, gnieździącemi się w pobliżu jego mieszkania. Był on już wówczas ojcem rodziny i dzieci czynnie mu w tém dopomagali. Owady wykonywają roboty zadziwiające, patrząc na to, można by sobie wyobrażać, że drobne te stworzenia obdarzone są nadzwyczajnym rozumem; człowiek nawet dorównać im nie potrafi, trzebaby więc przypuszczać, że zwierzęta w niektórych rzeczach pojętnością przewyższają ludzi, że to, co w nich nazywamy instynktem, śmiało współzawodniczyć może z naszym rozumem. Błąd to jest wielki, dość przyjrzeć się z blizką działaniu instynktu, aby poznać ogromną, uderzającą różnicę pomiędzy nim a rozumem. Owad pracuje nieraz z taką dokładnością i akuratnością, że darmobyśmy pośród ludzi szukali podobnych robotników. Nie zna on lenistwa, niedbalstwa, robi wszystko, co do niego należy, jak maszyna najdoskonalsza, której kółka, raz nakręcone, nie zбочą ani na włos jeden od wyznaczonego kierunku; instynkt jest dlań nieomylną wskazówką. Ale otóż w tém właśnie tkwi słaba strona instynktu: działanie jego jest rzeczywiście prawie takie, jak działanie maszyny, mimowolne, bezmyślne, wypływa z konieczności, a nie z rozumnej woli, która wie dobrze, co czyni i dlaczego. Za dowód posłużyć mogą doświadczenia francuzkiego przyrodnika, przytoczymy tu niektóre, dotyczące się pszczoły mularki.

Wiadomo, że pszczoły domowe umieją doskonale trafić do swojego ula, nigdy nie zabłądzą; tak samo i mrówki rozpoznają z łatwością własne mrowisko, do cudzego nie zaglądadają, chyba w zamiarach nieprzyjacielskich. Tu jednak można przypuszczać, że owady, należące do jednego stowarzyszenia, znają się między sobą, jak na przykład mieszkańcy jednéj wioski. Muszą jednakże mieć jakąś szczególną zdolność oryentowania się, skoro nigdy nie zabłądzą, ani w lesie, ani na łąkach, chociaż tak często odbywają dalekie wycieczki. Człowiek nieraz, zбочywszy z gościńca, nawet niedaleko od domu, musi o drogę pytać przechodniów. P. Fabre chciał się przekonać, jak dalece pszczoły mularki, które nie mają żadnych współtowarzyszek pracy, umieją trafić do rozpoczętej budowli, używał też rozmaitych sposobów, aby im to zadanie utrudnić. Chwytał na przykład mularki, zamykał je szczelnie w tutkach papierowych, przenosił o cztery wiorsty odległości, i wypuszczał na wolność późnym wieczorem; o tej porze ustają roboty mularskie pracowitych owadów. Dnia następnego z rana wyglądał powrotu robotnic przy gniazdach i zawsze przybywały o zwykłej godzinie, widocznie też najzupełniéj były pewne, że nie zabłądzą, pomimo odległości, bo za jednym zachodem zbierały miód po drodze i od razu gotowy zapas przynosiły.

Zapytacie może, skąd ten uczony miał pewność, że to te same pszczoły wracały do swoich komórek? wszak mogły inne rozpocząć robotę sobie przywłaszczyc i dalej na swoją rękę prowadzić. Miał on jednak na to sposób nieomylny: rozproszadzał odrobinę farby białej w gumie arabskiej i delikatnym pędzelkiem robił malutki znaczek na czarnym aksamitnym gorseciku owadu. Trzeba było przy téj operacji

trzymać pszczołę bardzo ostrożnie, delikatnie, aby nie zgnieść jej skrzydełek, nie okaleczyć, a przytém narażać własne palce a na ukłucie, które nie jest wprawdzie tak bolesne, jak ukłucie pszczoły domowej lub osy, zawsze jednak do przyjemności zaliczyć się nie może. Ale czegoż to człowiek nie znieśie dla miłości nauki!

Widzimy więc, że mularka, przeniesiona w tutce szczelnie zamkniętej, jakby z zawiązanymi oczyma, do miejsca oddalonego, gdzie może nigdy przedtém nie była, trafia jednakże bez trudności do swojej siedziby i do rozpoczętej roboty. Czem się kieruje? nie wzrokiem, nie węchem też pewnie, tylko jakimś odrębnym, nieokreślonym zmysłem, owym instynktem, którego największy uczony, ani pojąć, ani objaśnić nie jest w stanie. Ileż to jest cudów w przyrodzie, niepojętych dla umysłu człowieka, znanych dokładnie tylko Temu, który jest Stwórcą tych wszystkich cudów.

Przyjrząwszy się doskonałości instynktu, zwróćmy się teraz do jego niedostatków, a przekonamy się, że ten dowcip zwierzęcy, tak zadziwiający niekiedy, nie ma jednak nic wspólnego z rozumem człowieka, kierowanym zastanowieniem i świadomością. P. Fabre chciał także wypróbować, czy też mularka potrafi odszukać swoje gniazdo, jeśli go nie znajdzie na tém samym miejscu, gdzie je zostawiła. Doświadczenia tego rodzaju łatwo było przeprowadzić z owadami, budującymi swoje komórki na kamykach ruchomych. Najpierw więc nasz uczony przeniósł cały budynek z podstawą o parę kroków dalej, nie ukrywając go jednak wcale, przeciwnie, umieszczając na miejscu zupełnie odkrytém. Robotnica wnet przybyła z zapasami i skierowała się wprost do miejsca, gdzie pozostawiła rozpoczęte gniazdo; nie widząc go tam, niespokojnie fruwała tu i ówdzie, przeleciała przytém nieraz ponad własnym swoim dziełem, podstępnie odsuniętém, ale nie zwracała na nie najmniejszej uwagi, w końcu odleciała i nie wróciła więcej. Prawdopodobnie gdzieindziej założyła fundamenta nowej budowy, dawną uważała za straconą, ponieważ jej nie zastała tam, gdzie powinna była się znajdować. Po kilku dniach jeszcze widział p. Fabre opuszczoną tę komórkę, która już do połowy miodem była napełniona; mrówki w słodkim płynie gospodarowały w najlepsze, mularka, która własność swoją umiała odszukać o cztery wiorsty odległości, nie zdołała teraz trafić do niej, mając ją pod nosem prawie, oczywiście jej nie poznała.

Inne doświadczenia były równie przekonujące. P. Fabre mieniał w najrozmaitszy sposób rozpoczęte gniazda dwóch mularek, a robotnice nigdy się na tej zamianie nie poznały, nawet wówczas, gdy zastawały komórki wcale do swoich własnych niepodobne. Jeśli na przykład mularka zносиła dopiero materiał budowlany i rozpoczynała komórkę, on jej podstawił inną, zupełnie już wykończoną i do połowy miodem napełnioną. Obałamucona robotnica okazywała niekiedy pewne zdziwienie, wahała się przez chwilę, zawsze jednak kończyło się na tém, że budowała dalej, bez żadnej potrzeby przedłużając rurkę, a potem dolewała dopiero miodu, zносиła jajko i zatykała. Druga znów, która na miejscu gotowej i w części zaopatrzonej miodem komórki, dostała inną, niewykończoną jeszcze, niemniej jednak gromadziła do niej miód, nie przyszło jej wcale do głowy przynieść trochę gliny i budowę wyporządzić.

Instynkt zwierzęcy, który ma pozory najsubtelniejszego rozumu, w rzeczywistości połączony jest z najwyższą nieroz-

tropnością. Ten sam owad raz wykonywa z akuracją zegarka różne trudne i skomplikowane roboty, a drugi raz w najprostszym wypadku rady sobie dać nie umie jeżeli tylko ten wypadek wychodzi poza zakres zwyczajnych jego czynności. Mularka nie rozumie tego, co robi, popęd wrodzony, niepokonany, popycha ją do murowania, a po ukończeniu budowy, do gromadzenia miodu, więc naprzód muruje, potem miód zbiera, żadne okoliczności nadzwyczajne nie skłonią jej do tego, aby zmienić porządek swoich czynności, bo je wykonywa bezmyślnie, jak machina. Ona potomstwa swego nie obaczy, nie wie, że ono będzie potrzebowało żywności, przez troskliwość macierzyńską czuwać nad tém nie może. Lecz czuwa za nią Opatrzność i tej matce, która zginie, nim dziatwa jej wyjrzy na świat Boży, daje instynkt cudowny, więc mularka pracuje, wiedzona tym instynktem, tym popędem niepojętym i zapewnia nowemu pokoleniu bezpieczne schronienie i żywność. I dziatwa jej ma ten sam instynkt i też samą nieroztropność. P. Fabre urządził także ze świeżo wylęgającymi się z kokonów mularkami doświadczenia niemniej zajmujące. Przenosił kokony z murowanych komórek do rurek trzcinowych i zatykał, to zwykłą ścianką glinianą, to miękkim drzewem, to papierem, zawsze owad przewiercił dziurkę w suficie swego mieszkania i wydobył się na swobodę. Lecz potem przyszło nareszcie uczonemu na myśl ponad zwyczajną zatyczką umieścić rodzaj budki z prostego, szarego papieru. I cóż się stało? Owad przedziurawił sufit murowany lub drewniany, a tego dachu, który tam znalazł się niespodziewanie, nie próbował nawet przebijać i zginął z głodu w więzieniu. Instynkt kazał mu zniszczyć jedną zapórę, druga, jakkolwiek łatwiejsza, była już dla niego niepokonaną, bo nie wchodziła w zakres jego czynności. Jakaż przepaść dzieli instynkt zwierzęcia od rozumu myślącego i zastanawiającego się człowieka!

M. J. Z.

ZOSIA.

Zosią wianeczek na głowę wkłada,
I przodownicę udaje,
Wielce ze swego pomysłu rada,
W wianeczku przed matką staje.

* * *

Nuci piosenkę, którą żniwiarze
Śpiewali wczoraj przed dworem,
Gdy wianek państwu przynieśli w darze,
Wracając z pola wieczorem.

* * *

A na to matka z uśmiechem powie:
— Jedno ci, Zosiu, nadmienię,
U uprzodownicy wianek na głowie
Ważne ma bardzo znaczenie.

* * *

Bo na ten wianek w trudzie i znoju
Dziewczę zarabia u żniwa,
A ty, córeczko, myślisz o stroju,
Z robotą, oj, różnie bywa!...

J. P.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

To też słuchano go tak pilnie, że ostatnie dźwięki dawno przebrzmiały, a jeszcze nikt z zasluchanych nie śmiał odechnąć, aby ulatającej harmonii nie przerwać. Aż nagle dopiero wszyscy rzucili się ścisnąć ze łzami chłopaka, zowiąc go cudownym dziećciem, a on rumienił się, patrząc w oczy swój matuchnie, ona niby rosła z wielkiej dumy, pomściwszy w taki świetny sposób poprzednie zawstyżenie synka, wywołane rubasznymi dowcipami małej Jadwisi.

A potem, gdy uspokojono się nareszcie po zdumieniu i wzruszeniu wywołanym pieśnią i muzyką, tedy zabrano się napowrót do zamasytostego tańca i mniej uczonych, ale ochotczych przyspiewek. A bowiem taniec był w owych czasach zabawą powszechnie i ogólnie, tak w Polsce jak w całej Europie ulubioną, przyjętą i nieustającą prawie. Po królewskich dworach i po chatkach ubogich, wszędzie przy lada zebraniu tańczowano na zabój, tak samo, jak walczone na zabój w każdej wojennej potrzebie. Dziś nie wiedzieć czemu i młodzież nawet unika tańca, jakby był jakimś dlań ułóżaniem, chociaż, gdyby ję się zapytać, dlaczego to czyni, to z pewnością nie umiałaby się wytłómaczyć. Wówczas było inaczej, ludzie dojrzały, zarówno jak młodzież i dzieci, nie zwykli byli udawać nic, ani też czynić co bądź na wpół; kiedy się bawiono to tańczowano i śpiewano aż grzmiało, kiedy walczone, to do upadłego. Orkiestry też bywały ogromne po większych pańskich dworach z mnóstwem różnych instrumentów, których samych różnych nazwisk przechowało się dwadzieścia kilka. Oczywiście bywało to tylko na wielkich pańskich dworach, a pod takim niskim dachem, jak u państwa Jaśków w Dębinie, znachodził się ledwo jaki taki flet, podobny wielce do prostej piszczałki, ale za to ochota była wszędzie jednakowa i wszędzie bawiono się po królewsku, doskonale.

Tak też bawiono się w Dębinie, dopóki księżyc, wbiwszy się wysoko na szafirowe niebo nad lesistą okolicę, nie przypomniał rozbawionym, że słońce poszło niby spocząć, aby jutro wcześniej mogło ludziom do pracy przyświecać, a przed pracą trzeba było przecież sił do niej we śnie zaczerpnąć. Wspomniawszy o tej konieczności, ten i ów zaczął uczuwać cokolwiek znużenia i podziękowawszy gospodarzom za zabawę, rozeszli się, napełniając jeszcze okolicę wesołemi śpiewy, a nawet i w tanecznych skokach powracając do chat własnych wesoło.

Nareszcie zaległ przecież senny spokój nad szeroko rozsiadłą osadą, tak szeroko, że ostatnie ję chaty już się prawie stykały z gruntami i obejściem osady sąsiedniej, jak to było pod owe czasy w ludniejszych okolicach polskich, zwyczajem. Wichrzyk tylko gwarzył z drzewami, gęsto ocieniającemi dworki i chaty, ptactwo nocne załatwiała swe sprawy tu i owdzie, księżyc w pełni srebrzystej przyglądał się i przysłuchiwał ciekawie, ludzie spali prócz straży, czuwającej gdzieś niegdzie z rzadka po kraju na wysokich strażnicach pańskich i królewskich zamkach.

Złote pachole w małym dworku w Dębinie nie spało długo przecież, pomimo że i ono było znużone bo po śpiewie przy lutni tańczyła chłopczyna potem nie mniej dzielnie, jak wszyscy, a przytem zgrabnie i uczenie tak, że wszystkie inne dzieci, jego wyjmując nawet rubasznę Jadwisia, z podziwem na tę jego umiejętność, choć ją nie po pierwszy raz widziały. Ale za to występ z lutnią zdarzył się po raz pierwszy i był niespodzianką poniekąd dla samego nawet Złotego pacholęcia, choć matka oddawna synka przymuszała do odniesienia tego tryumfu nad pani Michałowej Jadwisia, ale mu się z zamiarów swych nie zwierzała i dworskie ubranie nawet przygotowała mu bez jego wiedzy, w ostatniej chwili dopiero objaśniając mu, co czynić należy, gdy zwiabiwszy go z Dębinki stroiła

żwawo, a cicho i tajemnie w kącie komory. Niespodzianka udała się a zachwyciła tak dalece samego malca, że aż zawróciła mu głowę i z tej to przyczyny nie mógł teraz oka zmrużyć, przewracając się na łóżeczku, choć wszyscy, nietylko w Dębinie ale i w całym Garbowie, dawno spali.

Strój prześliczny dworski, dawno marzony a tak nagle zjawiony, zawrócił ze wszystkim i tak rozigraną główkę malca, któremu przeto zdało się, że wszystkie jego marzenia spełnić się muszą, skoro się to pierwsze spełniło. Gdy zasnął nareszcie, śnił mu się pan Zawisza Czarny i ochota na Garbowski dworek, na której strojny margrabia Zygmunt tańczył konno, grając na lutni, a tańczyła z nim mała Jadwisia w chodakach, sukmanie i na bakier zawiązaną chuście na roztarganej głowie, a przytem także konno oklep na kulawej szkapie. Jadwisia wyglądała tak śmiesznie, że Złote pachole wraz z panem Zawiszą śmiali się z niej do rozpuku, tak się śmiali, aż te śmiechu wybuchy zbudziły malca; rozśmiał się w głos i roztworzył oczęta:

— A ty czego tak się przez sen śmiesz, synku mój złoty? — spytała matka, chwytając go w ramiona.

— Bo zostałem pacholikiem u pana Zawiszy i śmiałem się z Jadwisia — zawołał radośnie, chwytając matkę oburącz za szyję — Matusiu kochana, zaprowadź mię na Garbowski zamek i oddaj na pacholika, bo tam przecież pan Zawisza przyjedzie, to mię weźmie w świat!

Pani Jaśkowa, świadoma przecież marzeń synka, niewiedomo czemu na te ostatnie jego wyrazy dopiero nagle zbladła i oniemiała, jakby ze strachu: po raz pierwszy spostrzegła, że dziecinna te marzenia mogły stać się dla niej bardzo groźnemi, gdyby ukochanego jedynaka od niej oderwały. Zajął ją coprędzej chłopczynę czem innem, schowała strój dworski i usiłowała wybić mu z głowy myśli i obrazy, do których sama własnymi opowiadaniem dostarczyła wątku. Ale wszystko to było już zapóźno. Chłopczyna, naprowadzony owym strojem dworskim na myśl, że jego marzenia spełnić się mogą uwierzył, że się spełnić muszą, i nie dał ich sobie więcej wyperswadować. Dnie i tygodnie mijały, a malce dręczył matkę dniem i nocą prośbami, aby go na dwór Garbowski zaprowadziła. Ona, próbując zrazu rozerwać mu umysł, później perswadując, usiłowała nareszcie wzruszyć maleńkie serduszek, przedstawić mu okropność rozstania z rodzicami i z Dębiną: dzieciak rozbierał się, ale łkając i ściskając matkę, wołał przytem:

— Ależ ja wrócę, matuniu! wrócę wielkim rycerzem, ze złotą przepaską, wrócę, zobaczysz! Nie bój się!

Zatem gdy i przemawianie do serduszka nie pomogło, matka zapowiedziała wprost, że malce nie pójdzie ani gdzie nigdzie, lecz w domu spokojnie siedząc, jak dzieciom, przystoi, ma uczyć się od ojca pracy około pasieki, sadu i roli, bawić się z Jadwisia i nie nudzić matki dzieciństwami, bo ona na ich słuchanie czasu nie ma.

Taki usłyszawszy wyrok, Złote pachole oczywiście zamilkło odrazu i nawet szczerze zupełnie poddało się rozkazowi, ale odtąd coś dziwnego działo się z niem zaczęło, straciło sen i ochotę do jadła, poczęło wędznąć, jak nadłamanym kwiatem i nareszcie tak osłabło, że już na Dębinę wdrapywać się nie mogło i tylko w kącie ciemnej komory leżało ze zmrużonymi oczyma i spieczonemi ustami, jakby spało, a nie spało przecież. Wszelkie leki przez matkę i babkę zadawane nie pomagały. Natenczas dziadowie i rodzice wspólnie zaczęli chłopczynę badać i dopytywać, i pokazało się że karne, ale zbyt byłą wyobraźnią obdarzone dziecko, choć chciało być posłusznym, nie mogło już przecież samo obronić się przed tem uroczem widziadłem rycerstwa, które rozplomieniło mu serce i ośmieliło umysł młodzieńki; biedantwo, leżąc bezsilne z zamkniętymi powiekami widziało ciągle przed oczyma duszy pana Zawiszę, i z nim razem, jako jego pacholik lub giermek, przemiatywało na ładnych rumakach po świecie, broniąc słabych i niewinnych przed uciskami i przemocą.

(d. c. n.)



Zosia (str. 267).

List z zacisza wiejskiego.

Jakkolwiek obowiązkiem moim jest pisywać listy z Warszawy i donosić o różnych zajmujących rzeczach, które się dzieją w mieście, nie wezmą mi zapewne za złe czytelniczki

i czytelnicy, że odzywam się do nich z zacisza wiejskiego. Wszakże dobroczynność publiczna starała się nawet najbieńszej dziatwie podać środki wyrwania się choć na krótko z miasta, urządzając dla niej kolonie letnie, czemużbym i ja po trudach całorocznych nie miał wypocząć trochę na świeżem powietrzu? Nic też na tém czytelnicy nie stracą, bo w mieście obecnie nic ciekawego się nie dzieje, sprawozdawca

nie miałby tam co robić, Warszawa jest wyludniona, wszystko, co żyje, używa wakacyj za miastem.

Ale wspomniałem przed chwilą o koloniach letnich; otóż przede wszystkim muszę podziękować wszystkim dobroczynnym czytelniczkom i czytelnikom naszego pisma, bo odezwa moja do nich nie pozostała bez skutku, liczne datki sypały się nieustannie przez kilka tygodni, jak to widać z umieszczonej przy końcu każdego N-ru listy ofiarodawców. Zebrana ztąd okrągła sumka wyniosła sporo grosza, kilkoro ubogich dzieci mogło z łaski czytelników naszych podratować zdrowie. Wielka to pociecha dla redakcyi, wielka radość i dla mnie, bo bez samochwalstwa mogę sobie powiedzieć, że list mój poprzedni cokolwieczek się także do tego przyczynił. Jestem pewny, że wszyscy, którzy do tego szlachetnego dzieła dołożyli swoją ofiarę drobną, choćby najdrobniejszą, doznają zadowolenia wewnętrznego, czytając te słowa; ci zaś, którzy przez niedbalstwo, lenistwo, zapomnienie, ani jednego ziarenka nie dorzucili do wspólnej miarki, uczują może wyrzut sumienia i na drugi raz... inaczej postąpią.

Ale, przyjacielu Kaziu, powie prawdopodobnie która z łaskawych pańienek, rozgadałeś się, prawisz nam, jak z katedry, o naszych obowiązkach, a sam zapominasz o własnych. Jesteś sprawozdawcą, więc zdawaj nam sprawę z tego, coś widział w tym czasie zajmującego, czy w mieście, czy na wsi. W mieście przed wyjazdem widziałem coprawda niektóre rzeczy, o których wartoby pomówić, lecz wyznam otwarcie, marząc zawczasu o rozkoszach wiejskich, o zapachu siana, o śpiewie słowików, na wszystko tam na bruku miejskim patrzyłem obojętnie, nic mnie nie zajmowało, a że człowiek zawsze innych po sobie sądzi, więc i nie przypuszczałem, aby to mogło zająć kogokolwiek. Tymczasem dziś po głębszej rozprawie widzę, że o niektórych ważniejszych sprawach powinienem jednak choć w krótkości wspomnieć. Sprawozdanie moje będzie coprawda bardzo spóźnione, ale cóż robić, przeproszę pokornie, odwołam się do niewyczerpanej pobłażliwości anielskich serc... pańienek, one wybaczą, a panowie koledzy muszą przecież pójść za tym przykładem, zresztą... Lecz nie obrażajmy nikogo, bo jeszcze redakcyja gotowa mnie zgromić, że tylko pańienkom się zasługuje.

Przed samym wyjazdem z Warszawy oglądałem wystawę inwentarza na placu Ujazdowskim, niewiele jednak potrafiłbym o niej powiedzieć, chociaż rozumiem, że taka wystawa ma dla rolników znaczenie. Każdy tam bowiem mógł widzieć najlepsze w kraju konie, najlepsze bydło, drób, różne produkty gospodarskie, a tém samém i dowiedzieć się, jakim sposobem postępować potrzeba, aby każdą gałąź gospodarstwa ulepszać i do doskonałości doprowadzać. Ważna to rzecz bardzo aby wszystko, co się robi, usiłować robić dobrze, jaknajlepiej, gdyby każdy téj metody się trzymał, świat piękniejszy daleko wyglądał.

Wyznaję otwarcie, że daleko więcej mnie zajęła inna wystawa, urządzona przez zakład hrabianki Zyberk-Platerówny. Wspomniałem już kiedyś o tym zakładzie, w którym pańienki, i majątniejsze, i uboższe, otrzymują wychowanie bardzo podobne do tego, jakie w powieści „Prawdziwe Bogactwo” zacny i praktyczny wuj Kazimierz dał Hance. Uczą tam wszelkich umiejętności, pożytecznych dla kobiet w życiu domowém, a każda najprostsza robótka, doprowadzona jest do prawdziwego kunsztu. Nie znam się na robotach ręcznych i sądu o nich wydawać nie mogę, lecz słyszałem to zdanie od znawców, Oto na przykład nie miałem nawet wyobrażenia o tém, żeby można było tak pięknie, tak artystycznie cerować i łątać. Mała to rzecz niby zaszyć jakieś rozdarcie, a jednak umiejętnie zaszyć nieraz stanowić może ogromną oszczędność. Jaka to jest przykreść naprzykład, gdy kosztowne, nowiuteńkie ubranie, męskie lub damskie, przypadkowym sposobem się rozedrze w miejscu bardzo widoczném. Choćby się nie przywiązywało wielkiej wartości do stroju, to jednak niemilo jest włożyć na siebie podartą lub niezręcznie załataną suknię. Tymczasem uczennica zakładu hr. Platerówny najstraszliwsze uszkodzenie na każdej tkaninie potrafi tak sztucznie zaceroować, iż dopatrzeć tego niepodobna. Dość powiedzieć, że na

wystawie musiano te miejsca pocerowane szpilkami poznać, ażeby je osoby zwiedzające poznać mogły.

O piękniem szyćiu bielizny i sukien, o haftach, o koronkach, nie będę się rozpisywał, bo pańienki gotowe mnie wyśmiać, że się biorę nie do swoich rzeczy, wspomnę tylko o rysunku, który w tym zakładzie jest wykładany bardzo starannie. Rysować głowy, nosy, ręce, wreszcie krajobrazy, rzecz to piękna, a jeżeli która z pańienek ma wyższe zdolności i może się kształcić w malarstwie, nie ja ją będę od tego odwoził. I u nas są zasłużone kobiety malarki, że wspomnę tylko panny Andrzejkowiczównę i Dukszyńską. Ale rysunek w skromniejszym zakresie każdemu jest potrzebny, a pańienkom do różnych robót ręcznych niezmiernie przydać się może. Taki właśnie rysunek praktyczny zajmuje ważne miejsce w zakładzie hr. Platerówny. A i kształcenie umysłu uczennic wcale tam nie jest zaniedbane, o opiece troskliwej mówić nawet nie potrzeba; zacna założycielka jedynie dobro młodzieży ma na celu, poświęcając na ten zakład znaczny fundusz, który jęj żadnych zysków nie przynosi, lecz przeciwnie ciągle podobno nowych nakładów wymaga. Gdyby zaś z czasem były zyski, poszłyby w całości na powiększenie liczby uczennic bezpłatnych. Opłatę oznaczono tak skromną, że i dla mniej zamożnych osób jest dostępna.

Muszę też wspomnieć choć słówkiem o popisie w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. O tych popisach pisałem już w latach zeszłych obszernie, i w roku bieżącym wszystko odbyło się tak samo, a goście, zaproszeni na tę doroczną uroczystość, musieli podziwiać cierpliwość i poświęcenie zacnych przewodników i nauczycieli, którzy tak skuteczną ulgę przynoszą tylu nieszczęśliwym i upośledzonym istotom. Jedną tylko zmianą bolesne wrażenie sprawiała na tych, którzy w zeszłych latach bywali na popisach Instytutu: brakło tam pośród gromadki dzieci ociemniałych i głuchoniemych wyniosłej postaci kierownika, który przez czas tak długi duszą był tego zakładu, brakło czcigodnego Jana Papłońskiego. Życiorys tego zasłużonego męża, skreślony przez jednego z pomocników jego, p. Władysława Nowickiego, nauczyciela Instytutu, podaliśmy wraz z portretem w 1 N-rze „Wieczorów” roku bieżącego. Dzieło Papłońskiego prowadzą dalej godni jego następcy.

A teraz, opowiedziawszy pobieżnie, co oglądałem w mieście przed wyjazdem, należałoby z kolei wspomnieć i o tém, co widzę tu na wsi. Niestety! przez parę pierwszych tygodni nic nie widziałem prawie, oprócz strumieni deszczu, spływających nieustannie z rozplakanych obłoków. Już i sam nieraz miałem ochotę zapłakać, bo wakacye szybko upływają, a tu wyraźnie zanosilo się na to, że i czasu zabrakłoby na różne rozkosze wiejskie, gdyby ta słota straszliwa dłużej potrwalała. Na szczęście wypogodziło się przeciw i zacząłem zawiązać używać wakacyj. Nie wiem, jakie tam inni koledzy mają upodobania, ale dla mnie latem, na wsi, niema większej przyjemności, jak doglądać robót gospodarskich; będąc tu u krewnych, uprosiłem, aby mi dano jakieś zajęcie prawdziwe, nie zabawkę, więc stałem przez cały dzień nad stawem, przy myciu owiec, potem strzyży pilnowałem, chodzę często z kluczami do śpichrza, odmierzam obroki i t. d. Zupelna bezczynność jest nudna, nad książką jakoś tu na wsi niema ochoty ślezczać, ale takie zajęcia na świeżem powietrzu, całkiem odmienne od naszych prac szkolnych, i zdrowiu sprzyja i przyjemnie zajmuje. Choćby mnie kto miał wyśmiać, muszę jednak wspomnieć, jak mię tu ubawiło wesele wiejskie. Czytelnikom, zamieszkałym na wsi, dziwnym się wyda mieszcuch, który pierwszy raz widział wesele na wsi, ale w mieście zapewne niejeden, podobnie jak ja, nie ma wyobrażenia o widowisku podobnem. Bo jest to prawdziwe widowisko; w orszaku panny młodej, która po ślubie odwieżdza z muzyką wszystkich sąsiadów i do dworu przychodzi, występują *maskary*, jak to dawniej nazywano. Wesołe kumoszki przebierają się za mężczyzn, za cyganów zazwyczaj, więc twarz mają osmoloną, wąsy przyprawione, ubiór dziwny, wyprawiają też dla uciechy różne figle, udają pijanych, wyskakują, śpiewają śmieszne pieśni. Parobczak znów prze-

brał się za niedźwiedzia, to jest od stóp do głowy owinięty był kożuchem, do góry sierścią obróconym, tak, że widać mu było tylko koniec nosa, chodził na czworakach i udawał rozmaite sztuki uczonego niedźwiedzia. Drugi znów, udający cygana, wodził go na łańcuchu. A upał był okropny dnia tego i musiał się biedny niedźwiedź spocić porządnie pod ciężkim kożuchem. Ale zwyczaj tego wymagał, więc nie było rady, zresztą widocznie nie z przymusu lecz z ochoty dokazywał.

Musi to być zwyczaj niezmiernie dawny, bo wiadomo, że zabawy i pieśni ludowe pochodzą często z czasów starożytnych, nawet przedchrześcijańskich. Ale rozписаłem się okropnie, list mój przybrał takie rozmiary, że gotowi tam w redakcyi dla braku miejsca obciąć go do połowy. Kończę więc, chociaż miałbym jeszcze nie jedno do powiedzenia; polecam się życzliwości czytelnicek i czytelników

serdeczny przyjaciel Kazio.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I ŁÓDÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Nasz przewodnik i wiosłarze zaraz za zbliżeniem się do owych błotnistych przepaści, nad którymi zawsze tańczą chmury komarów, wydostali małe drewniane puszki, pełne jakiejś maści i ob smarowali nią grubo twarze, ręce, szyję, nawet włosy. Wtedy dopiero, spojrzawszy z ojcem na siebie wzajem, zrozumieliśmy i przekonaliśmy się, że nie tylko sam Hans-John, ale oni wszyscy byli Samesami umytymi tylko i przystrojonymi pozornie. To smarowanie się przeciw komarom zdradziło ich ostatecznie dla ojca, który się na tém zna, bo był już nieraz na północy. Ojciec powiedział żartem, że oni się zaczynają *demaskować*. Istotnie w miarę, jak zbliżaliśmy się do granicy, oni stawali się coraz weselsi i swobodniejsi. Tymczasem wśród tych trudów podróży należało przyznać, że byli bardzo troskliwi, tak o nas jak i o nasze pakunki. Te ostatnie i mnie szczególnie zajmować zaczęły. Nie mając co robić na częstych spoczynkach, przyglądałem się bliżej ciężkiej pracy z łódkami, jakkolwiek trzy pozostały na ostatniej rzece z jednym wiosłarzem, a dwie już tylko ciągniono, ponieważ my szliśmy teraz, więc nasze łódeczki nie były potrzebne. Na jednej z owych łódek były nasze pakunki i owe zapasy żywności wiosłarzy, o jakich oni mi już mówili, na drugiej tylko zapasy, i teraz dopiero, gdy je złożono razem, mogłem dobrze zauważyć ich ogrom.

— Dziwna rzecz, że tej żywności nie ubywa... — mówiliśmy sobie z ojcem — i dziwna ta wiosłarzy nadszycajna o nią troskliwość, z jaką chronią swe zapasy, nie tylko od deszczu, który padał kilka razy, ale nawet i od ognia?...

Tak rozmyślając, szliśmy po błocie i śniegu, z pośród którego czasem, niby zjawisko, wyglądał mech barwisty, jak kwiat, a parę razy nawet i kwiat jaskrawy ujrzałem. Paliwa do kawy nie brakło, drzewo choć karłowate otaczało nas ciągle, gdyż Hans widocznie ze względu na swe ciężary wybierał drogę nizinami i przesmykami, wśród gór śniegiem i lodem pokrytych. Z licznymi przestankami zaczynałem się teraz godzinę coraz serdeczniej, gdy ożywcze ciepło po wrzacie kawy rozchodziło mi się po ciele. I owszem, nieraz gotów byłem pomódz do rozpalenia ognia, a tu wiosłarze przede wszystkim, nawet przed rozpaleniem ognia, zajmowali się zabezpieczeniem, ustawieniem, i osłonięciem swych zapasów w łódce, bo ta, sama bardzo lekka, służyła im teraz niby za potrzebny koszyk do żywności, zawieszony na owych dragach, które wprzód służyły za wiosła.

Gdy tak jednego razu opatrywali tę łódkę, a ja zbliżyłem się do nich, zniecierpliwiony brakiem kawy, którą niedawno gardziłem, nagle nieostrożny ruch wiosłarza odsłonił na krótką chwilę kawał skóry renifera, okrywający zapasy owe i ja ujrzałem... To, co ujrzałem, nie było niczem strasznym z pozoru, ale ponieważ właśnie w tej chwili usłyszałem rozkaz Hansa, dany towarzyszom, aby ogień rozpałać „dalej! jeszcze dalej!” przeto to chronienie od ognia, co w łódce spostrzegłem, naprowadziło mnie na dziwny domysł, a ten jak iskra elektryczna obudził we mnie cały szereg różnorodnych a niepokojących myśli... Mimowoli odstąpiłem od „zapasów” zbliżając się do rozpalonego nareszcie ognia, przy którym ojciec, pogwizdując swobodnie, suszył obuwie, porządnie w błocie zamokłe, wyglądał daleko lepiej niż w domu:

— Co tobie jest? — zapytał nagle, spojrzawszy na mnie. Obejrzałem się, byliśmy sami, bo nastawiwszy wodę na kawę nasi przewodnicy byli znów koło swych zapasów.

— Ojcie, czy wie ojciec, co oni tam kryją, zamiast zapasów żywności?... — rzekłem po cichu. On spojrzał na mnie.

— Baryłki nieduże!... — szepnąłem ciszej jeszcze. Ale ojciec wciąż patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem, nie zgadując widocznie, co miałem na myśli, więc dodałem:

— A jak oni ciągle je chronią od ognia... — ojciec drgnął, dopiero teraz mię zrozumiał.

— Marzy ci się! — rzekł po chwili namysłu — niepodobieństwo! poco, na co, dla kogo mieliby proch wieść tędy i w tak znacznej ilości? przecież nie dla własnego użytku!

— A jednak wiozą! — odrzekłem i przypomniałem ojcu owo zdumiewające nas od początku skrywanie się Hansa z podróżą, tajemny wyjazd, przekładanie „zapasów” na inne łódki, dla zmylenia czyjejsz czujności, unikanie troskliwe miejscowości zamieszkałych, strażowanie na drzewie, i ów pospiech szalony, nadludzki prawie...

— Tak, to wszystko prawda, i daje do myślenia, przyznaję — rzekł ojciec z namysłem — ale nie pojmuję celu w przewożeniu prochu pokrywom; trudnoż przypuścić, aby niespodzianka jakaś dla którego z trzech graniczących ze sobą państw, miała się urządzać tu właśnie, w sercu Laponii... to być nie może!...

Chciałem odpowiedzieć to i owo, ale wiosłarze powrócili do gotowania kawy, a po jej wypiciu puściliśmy się w dalszą drogę.

— Uch! a to zupełnie jakby Sames skrzeli dostał i w Tanę wskoczył, gdy te górki przebędzie! — rzekł po niejakiem czasie Hans-John, odetchnąwszy z głębi piersi. Stanął i rękami jak pletwami poruszał, wyobrażając sobie oczywiście, że jest pstragiem ogromnym w Tanie, dla którego, jeżeli są wędkie zabójcze, to granic jeszcze niema! gdy dla Samesów, niegdyś swobodnych na całej północy, teraz już je ludzie wymyśliłi. Wszy cy Samesi, dźwigający i ciągnący po śniegu swe ciężary, stanęli i odetchnęli tak samo:

— Uch!...

— No, a więc dalej! przebywajmyż prędzej te zakłętą wasze górki! — rzekłem zniecierpliwiony. Hans zwrócił się ku mnie i z gestem nacechowanym radością wskazał palcem poza nas w stronę, z której przybywaliśmy, lecz cokolwiek w górę. Spojrzałem i zdumiałem się, bo tam owe śnieżne szczyty Alp skandynawskich były już poza nami, niezbyt wysokie lecz majestatyczne, a odziane w tej chwili w poważny fiolet i w królewską purpurę...

— Hans-John-Bull umie prowadzić! — podróży ani wie kiedy przejdzie!... — rzekł Hans z najwyższą dumą przewodnika, i dodając sobie jeszcze najwspanialszy, jak widać w jego pojęciu, tytuł: Bull!... z racyi swęj doskonałości...

Istotnie, zajęci rozmową i naszymi domysłami, a najbardziej podobno trudnościami przejścia i deszczem, nie wiedzieliśmy kiedy szczyty zostały przebyte, poza nami. Stanęliśmy tak prawie, jak nasi przewodnicy, dla chwilowego wytchnienia, ale też aby obejrzeć okolicę z niedużej wyżyny, na którą weszliśmy nieznacznie. Wprawdzie dotąd nie brakło nam paliwa do gotowania kawy, jednakże lasy rzędiały

już, lub spalone były na szwedzkim stoku Alp Skandynawskich tak bardzo, a trzęsawiska zastąpiły ich miejsce tak gęsto, że ta strona niemiły przedstawiała widok. Za to stok Alp od strony norweskiej Laponii był prześliczny. Stanowiły go gęste bory wspaniałe o rozłożystych drzewach, śnieg alabastrowy, jeziora o dyamentowych blaskach, i stubarwne odległe szczyty innych wyżyn górzystej krainy. Prawda, że cały przepych słonecznych promieni północnego lata wysypywał w tej chwili na nią swe bogactwa, i one to może stroiły ją w swoje odbłaski; ale ja, nie wchodząc w przyczyny, stałem zachwycony świetnymi blaskami tego kraju, który miałem dotąd za smutną i ponurą północ... Wypowiedziałem ojcowi myśli i uczucia moje, a on rzekł z wolna:

— A jednak jakże istotnie smutną i posępną jest ta północ, gdy przyjdzie długa noc tutejsza, zarówno ponura i zimna jak świetne i ciepłe jest lato!... Podobnie bywa i z duszą ludzką, i dla niej wszystko zależy od uczucia, które ją oświeca, tak jak tę krainę oświeca słońce. Im piękniejsze i wznioslejsze uczucie oświeca ludzką duszę, tém ona jest wspanialszą i świetniejszą... pamiętaj o tém, i strzeż się, aby nigdy ponura myśl nie rzuciła cienia na duszę twoją...

Gdy ojciec tak mówił, ja gorąco uczuwałem prawdę słów jego, patrząc na barwną tysiadcę blasków krainę norweskiej Laponii, rozwijającą przed nami swe uroki... a gdy wspomniałem, czem ona być musi, gdy dzień ten kilkomiesięczny zastąpi noc również długa... wstrząsnęłam się mimowolnym przestraszem.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA.

(Ofiarowana Łani, dzisiejszej Prymulce różowej, przez Okularnika).

Pewien Okularnik mały,
Co uwielbia dowcip Łani,
Ślubując jej afekt stały,
Łamigłówkę śle jej w dani.
Z nazwiska sławnego męża,
Wziąwszy do rączki ołówkę,
Twym sprytem, co trud zwycięża,
Masz ułożyć dziesięć słówek:
Co niezbędne dla człowieka.
Lecz gdy płynie, przestrasz budzi?
Co gosposie robią z mleka?
Kto był matką wszystkich ludzi?
Bryła lodu niebezpieczna,
Znak zaszczytny dla żołnierza
Dla rybaka rzecz konieczna,
Jeżeli nie ma więcierza.
Co pożaru jest powodem?
Jakie zwierzę szczypie silnie?
Co żałoby jest dowodem?
A co parzy nieomylnie?
Dwanaście wyrazów jeszcze
Da się ułożyć jak z płatka,
Lecz tutaj ich nie pomieszcze,
I tak dość długa zagadka.

Ani też na zakończenie
Nazwiska nie wymienię,
Wszak to niewielka sztuka,
Odgadnie — kto poszuka.

Łamigłówka kryształowa (Psotnica).

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę.
3. Napój.
4.
5. Sprzęt.
6. Ciało lotne.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą tytuł sielskiego poematu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Zadania konikowego:

W wonnym sadku mojej matki

Kwitły bzy, konwalie, ~~roze~~, *rozmarynki*

Polne maki i bławatki,

I lilije, kwiatów stróż.

Słwik dla nich śpiewał, jęczał,

Najpiękniejsze swoje pieśni,

Wiatr szeleścił, strumień brzęczał,

Pół na jawie, a pół we śnie.

(Ustęp z poezji „Wspomnienie” Ryszarda Berwińskiego).

Łamigłówki zgłoskowe:

Nogietki — Irkuck — Epaminondas — Mohylew — Oko — Ję
— Otto — Wagram — Słonie — Kruki — Ilmen.

Niemojowski — Niemojowski.

REBUS.



TREŚĆ: Z życia owadów p. M. J. Z. — Zosia, wierszyk (drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a. (c. d.) — List z zacisza wiejskiego. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Gwiazdka, wierszyk (z drzew.) — Loteryja fantowa p. Z. Bukowiecka — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana (dokończenie). — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



GNIAZDKO.

Ptaszyna gniazdko uwiła,
A żeby dziatwa jej miła
Miała ciepło i wygodę,
Schronienie na niepogodę.

Skoro wyjrzą na świat Boży,
Mateczka skrzydła rozłoży,
Pisklątka swoje osłoni,
Od niebezpieczeństw obroni.

Ojculek prędko poleci
Po pożywienie dla dzieci,
A gdy głód ich zaspokoi,
Świegotem do snu ukoi.

O! bo u mateczek łona
Najlepsza dziecku uchrona,
Podczas gdy ojca opieka
Czuwa z blizka i z daleka.

J. P.

LOTERYA.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

W dzieciennym pokoju u pani S. wielka się odbywa narada. Trzy dziewczynki obsiadły stół, i rozprawiają głośno, ku zmartwieniu bony francuzki, która ich do porządku przyprowadzić nie może, a ani słowa z rozmowy nie rozumie.

— Słuchajcie! Ja wam powiadam, jak to będzie — zawołała żywa jak iskra, Helenka — słuchajcie! ja mam kilka ślicznych dawnych zabawek, mama da coś z drobiazgów swego biurka, każda z was zbierze, co będzie mogła, i będą fanty.

— Ależ my chcemy dać naszą pracę — przerwała jej z łagodnym uśmiechem Antosia — zresztą mogą być i dawne zabawki, tylko trzeba samym także coś zrobić, prawda, Olesiu?

Olesia była najmłodszą z trzech dziewczynek, ale takie to maleństwo było zawsze roztropne, że godziła zwykle swoje przyjaciółki, które i dziś od rana do niej przyjechały, a w tej chwili żywą zajęte były rozprawą.

Olesia w ważnych kwestiach, nie postanawiała nic, bez zdania braciszka Stasia, pobiegły więc panienki po niego, bo Staś, wielki sensat, czytał w drugim pokoju, i sprawę wytoczono na nowo. Helenka, zawsze najżywsza, z komiczną powagą posadziła zdziwionego chłopca na fotelu, dziewczynki na krzeselkach, i wyskoczywszy na mały stołeczek, zawołała:

— Ty będziesz prezydował, bo ty jesteś mężczyzna, a tu jest sejm. My wszystkie radzić będziemy, a co uradzimy, to ty zatwierdzisz, tylko niech ci się rządzić nie zachciewa, bo nas jest trzy, i panna Fanny nam pomoże i może być więc źle z tobą; a teraz słuchaj! Antosia, Olesia i ja chcemy zrobić loteryą, taką loteryą, co to każdy coś wygrać może; będziemy płacić za bilety, ciocia zaprosi dużo gości, będziemy się bawić doskonale. I cóż ty na to?

— Jeszcze nie powiedziałeś mi, Helenko, że za pieniądze z biletów zebrane kupimy lampę do kościoła — dokończyła Olesia.

— I że biednym dzieciom, także się z tego coś dostanie — przerwała Antosia.

— A czy wiecie, ile lampa kosztować będzie, i ile trzeba sprzedać biletów, żeby na nią wystarczyło? — spytał poważnie rozparty w fotelu Staś.

Na to nie umiały odpowiedzieć dziewczynki, ale Helenka zeskoczyła ze stołeczka, salutowała jak żołnierz przed Stasiem, pobiegła do salonu, i za chwilę wróciła, prowadząc ciocię za rękę. Ciocia kochała wszystkie te dzieci, jak swoje, więc też prędko do porozumienia przyszło. Ciocia zaręczyła, że lampę za 30 rs. dostać można, że bilety pewnie się rozprzedadzą, więc trzeba pomyśleć o przygotowaniu fantów. Każda z panienek ma swoje znajome, niech im powie, o wielkim zamiarze, mamy i ciocie pomogą, teraz jest Luty, na Wielkanoc będzie loterya, a na Boże Ciało da Bóg, zawiesi się lampę przed ołtarzem.

Dziewczynki uściślały się uszczęśliwione i podały sobie potem z powagą ręce, na znak przymierza, Staś, który niezmiernie historią lubił, chciał im opowiedzieć, jak trzech Szwajcarów przysięgło sobie tak jak one zgodę, i aż Niemców wypędziło, ale nie dała mu dokończyć zawsze żywa Helenka, znudzona długim siedzeniem, założyła mu lejce za pasek i pobiegli do jadalnego pokoju, gdzie ich już oddawna, na podwieczorek wołano. W godzinę potem rozjechały się panienki, obiecując, na przyszłą niedzielę zebrać się znowu, i przywieść co się da gotowych już fantów.

Było przy tém pożegnań i uścisków bez końca, Staś żartował z panienek, że takie czule, panienki wyśmiewały.

wały się z niego, że haftować i szyć nie umie, więc do loteryi się nie przyda. Mamy wołały, żeby dobrze zapisać salopki, nareszcie zajechały sanki, Helenka, zawsze pierwsza, w jednej chwili była już na koźle, i odbierała lejce staremu Franciszkowi. Domowe dzieci przez drzwi uchylone wyglądać za gośćmi miały ochotę, ale pani S. zabrała je do pokoju i wszystko wróciło do dawnego porządku.

Od tego czasu, co niedziela zjeżdżały się trzy przyjaciółki, i opowiadały sobie, co przez ten czas, dla *wielkiego dzieła* zrobiły. Wiadomości były coraz lepsze. Już nie tylko one, ale cały tuzin dziewczynek szył i haftował, mamy dopomagały, a nawet, czego się nie spodziewano, chłopcy wzięli się do roboty, kleili, wyplatali, wyrzynali, dość że po miesiącu mama oddała Olesi, szafkę na fanty, i zrobiła ich spis, który wróżył, że ogólna liczba osiągnie, a może nawet przewyższy setkę. Sprzedawano jednocześnie bilety, z temi szło trudniej, ale mamy pocieszały, że na Wielkanoc pójdzie sprzedaż lepij i potrzebne pieniądze się zbiorą.

Aż i nadeszło to oczekiwane święto. Czas był prześliczny, w ogrodzie fiołki się rozwijały. Już w Kwietniu niedzielę świeciły się w ławkach mundurowe guziki, a wszystko to dobrzy niezmiernie tancerze. Panienki spokorniały, bo teraz nie przy nich była przewaga. Studenci z początku udawali bardzo poważnych, ale na wsi, w polu trudno zawsze pamiętać, że się jest z wyższej klasy, dość, że i wśród naszych znajomych wkrótce gwarno być zaczęło, a ogólnie myślano tylko „jak też z tą loteryą będzie”?

Naznaczono ją na poniedziałek świąteczny. Wszyscy od rana byli w doskonałych humorach, panienkom udało się oblać p. Fanny, a chłopcy trochę znów pannom dokuczili, tak że już przy śniadaniu opowiadania i śmiechy nie ustawały. Po nabożeństwie zabrano się do ustawiania fantów. Przeznaczony był na to osobny pokój z kilku stolikami, na których rozłożono je tak, żeby rzecz każda jaknajlepiej się wydała. I doprawdy, było co widzieć, i na co się cieszyć. Tu lalki ślicznie ubrane rozsiadały się na mebelkach, haftowanych bardzo starannie, tam pałac wyklejony i pomalowany zadziwiał panienki, bo to była chłopców robota. Nawet całe krakowskie ubranie leżało, czekając na szczęśliwą wygrywającą, i pudełko cukierków, darowane przez wuję, zachęcało do brania biletów. Gości tym czasem przybywało ciągle, dom roił się od małych główek, mamy pokazywały dzieciom przygotowane fanty, a Helenka biegała do wszystkich z biletami, które tak rozkupywano, że wkrótce drugie sto zrobić trzeba było. Nareszcie wybiła trzecia godzina. Olesia i Antosia stanęły przy wazie z losami, wujaszek dał znak dzwonkiem, i loterya się rozpoczęła.

Co to było radości przy każdym wygranym fannie, studenci wręczali je uszczęśliwionym malcom, ci pokazywali mamom, zamieniali, jeśli fanty stosownymi nie były. Najwyższy z 5-tj klasy Józio wyciągnął podwiązki, ale oddać ich nie chciał, dowodząc, że w Angli pod wiązka jest najzaszczytniejszym orderem, o co Antosia bardzo się gniewała. Poważny Franio dostał laleczkę, a nieumiejąca grać Janinka nuty. Było śmiechu i hałasu co

niemiara, aż z ostatnim biletem pani S. zagrała mazura, i dwadzieścia par uszczęśliwionych i obdarowanych dzieci biegło do salonu i tańczono ochoczo do dziesiątej.

Nazajutrz wypocząwszy zjechały się znów trzy przyjaciółki, żeby dokończyć rozpoczętego dzieła. Obliczono pieniądze. Było przeszło 40 rubli, bo znaleźli się tacy, którzy za bilety bardzo drogo płacili. Mama Antosi jechała właśnie do Warszawy, ona więc lampę kupić obiecała. W wigilią Bożego Ciała, zaniesiono ten dar dziecięcy w małym parafialnym kościółku, i świadczy on dotąd o szlachetności trzech serc, w których powstała myśl, co to pobożne zapaliła światło.

To było kiedyś, a dziś? Dziś Olesia i Antosia rozmawiają nieraz o fantowej loteryi, ale wtedy ze łzami wspominają też o téj trzeciej, Helence, której niema już pomiędzy niemi. Młodziutką uniósł Anioł śmierci, na żal wszystkich, co ją znali, i duszyczka jej świeci między wybranymi, a pobożne dzieło, do którego należała, przypomina ją żyjącym.

Zofia Bukowiecka.

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANĄ.

(Dokończenie).

Kryształek odwrócił się niechętnie, a Zielonko witał się serdecznie z Abrakadabrussem, gdy zabrzmiały w powietrzu przeraźliwe dźwięki rogów i nadjechał w pełnym galopie, na dzielnym rumaku, otoczony poczetem konnych dworzan, królewicz Pióropuszek. Gdy i on z kolei począł witać Abrakadabrusa i o ważną sprawę pytać, ten, nie tracąc czasu, przemówił w te słowa:

— Miłościwi królewicze, mam rzeczywiście ważną sprawę, której nie mogłem załatwić inaczej, tylko w obec was wszystkich trzech, dostojni synowie króla Bożydara. Wszyscy trzej jesteście nieszczęśliwi z powodu nieroztropnej umowy, którą zawarliście bez zastanowienia. Wszyscy się przyznajecie do tego, że pragniecie to naprawić i przystąpić do zgody, tak, nie odwracajcie się, miłościwi królewicze i nie dawajcie mi znaków, bo to się na nic nie przyda. Słyszałem to z własnych ust waszych, nie zechcecie mi przecież kłamstwa zarzucić. Wszystko się tylko o to rozbija, że żaden z was nie chce pierwszego kroku zrobić. Otóż ja postanowiłem sam za was zrobić ten krok pierwszy, to jest oznajmić głośno tę waszą gotowość do zgody. A teraz, miłościwi królewicze, skoro już niema żadnego sekretu i wszystko jest wyjaśnione, jak należy, raczcie podać sobie ręce i niech już zawsze zgoda przykładną panuje pomiędzy wami.

Trzej królewicze, na te słowa mądrego Abrakadabrusa, razem w jednej chwili wyciągnęli ręce, mistrz je pochwycił i złączył w swoich szerokich dłoniach, poczem podrzucił czapkę w górę i wykrzyknął:

— Niech żyją trzy królewskie pary! Królewicz Kryształek z królową Iskierką, królewicz Zielonko z królową Jagódką i królewicz Pióropuszek z królową Perłą!

A królewicze, uniesieni radością, że się tak wszystko

szczęśliwie załatwiło, ściskali się wzajemnie, przyrzekając sobie, nigdy już ani na jedną godzinę się nie poróżnić. Wówczas Abrakadabrus widząc, że tu już nie ma co robić, poszedł do gospody, przyprowadził muła i głębokim ukłonem zegnał królewiczów.

— Powracam z dobrą wieścią do króla Dobromira i pięknych jego córek — mówił — wkrótce zapewne się zobaczymy, bo przecież upłynął już tydzień, który król Dobromir zostawił sobie do namysłu, musicie więc śpieszyć na dwór jego po ostateczną odpowiedź. No, teraz ręczę, że będzie dobra i wyprawimy niezadługo trzy huczne wesela.

Królewicze uściskali serdecznie mistrza, Krysztalek włożył mu na palec przepyszny pierścień brylantowy, Zielonko nie miał żadnych kosztowności, więc wyjął piękną różę z petelki od guzika i przypiął ją do szaty Abrakadabrusa, a Pióropuszek przyozdobił jego czapkę wspaniałem piórem strusiem. Po czułym tém pożegnaniu, mistrz wsiadł na okręt i odpłynął, a trzej królewicze razem, rozmawiając wesoło, odjechali do rezydencji Krysztalka, bo ta była najbliżej i tam wyprawili sutę ucztę, na której nie brakło, ani roślinnych, ani zwierzęcych pokarmów,

Wielka była radość na dworze Dobromira, gdy mistrz powrócił z tak pomyślną wieścią, król Dobromir i królowa Miłosława kazali mu usiąść tuż obok tronu i opowiadać wszystko ze szczegółami, a królowny słuchały z ciekawością ogromną. Gdy mówił o przepysznej rezydencji Krysztalka, Iskierka uśmiechała się, a oczki jej błyszczały, jak prawdziwe iskierki. Gdy począł opowiadać o prześlicznych ogrodach Zielonki, Jagódka zarumieniała się, jak wisienka, a gdy nareszcie opisywał wspaniały pałac koralowy Pióropuszka, piękna twarzyczka Perełki mieniała się blaskiem różowym, jak perła, promieniami słońca oblana.

Nazajutrz około południa dała się słyszeć z daleka huczna fanfara, trąby, flety i rogi brzmiały razem, straż pałacowa odpowiedziała natychmiast podobnym odgłosem i wnet ukazał się wspaniały orszak jezdnych, a na przedzie, na pysznych rumakach, jechali trzej królewicze. Byli prawie jednakowo ubrani, bogato i pięknie, ale bez tych poprzednich dziwactw. Tém tylko się różnili pomiędzy sobą, że Krysztalek miał przy kołpaku ogromny, błyszczący brylant, Zielonko bukietik ślicznych kwiatów, a Pióropuszek pęk piór wspaniałych.

Król Dobromir uściskał serdecznie gości, królowa Miłosława podała im rękę do pocałowania, a królowny dygnęły z wdziękiem, odpowiadając na ukłony królewiczów. Reszty już pewnie czytelnicy domyślają się sami. Jeszcze tego samego dnia przy obiedzie wnoszono zdrowie trzech par zaręczonych, a wkrótce, jak przepowiedział Abrakadabrus, obchodzono na dworze króla Dobromira sute wesela, wszystkie trzy razem, a przybył na tę uroczystość i stary król Bożydar.

Potém trzej królewicze z żonami odjechali na wyspę Atlantę, każdy mieszkał tak samo, jak dawniej, w własnej rezydencji, ale te rezydencje zupełnie inaczej były urządzone. U Krysztalka nie brakło już wygodnych sprzętów i obić jedwabnych, dokoła pałacu zasadzono piękne drzewa, założono ogród kwiatowy. U Zielonki

podawano potrawy na srebrnych półmiskach i porcelanie, a u Pióropuszka nie brakło już, ani bułeczek dla państwa, ani paszy dla bydła. Trzej bracia panowali zgodnie i opływali w dostatki, gdyż na wyspie Atlantie brakło chyba tylko ptasiego mleka.

Mistrz Abrakadabrus opuścił dwór Dobromira i przeniósł się także na wyspę Atlantę, przesiadywał kolejno u każdej ze swych uczennic, a gdy później w trzech rezydencjach przysłała na świat liczna gromadka małych królewiczów i królewien, mistrz trudnił się ich wychowaniem. Zawczasu też wszystkie te dzieci pod jego mądrym nadzorem zapoznały się z królestwem minerałów, królestwem roślin i królestwem zwierząt. Doskonale wiedziały, jak te trzy królestwa ściśle są z sobą związane, jak rośliny nie mogą żyć bez minerałów, zwierzęta bez roślin, a człowiek, rozumem od Boga obdarzony, wszystkie trzy królestwa przyrody na swoją korzyść zużytkować umie, a obejść się w żaden sposób nie może, ani bez minerałów, ani bez roślin, ani bez zwierząt.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Od Kalinki dla Różyczki polnej).

W kwadraciku z 16 podziałek umieścić: 6 A — 3 G — 1 K — 1 M — 1 N — 2 O — 2 R — aby otrzymać w obu kierunkach: 1. Członek ciała. 2. Gatunek psa. 3. Ćwiczenie muzyczne. 4. Trunek.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 32-go.

Zagadki:

Potop.

Skrzynka do listów.

Wiochna z pod Lublina ma właśnie teraz w „Wieczorach” powieść historyczną, powinna więc być zadowolona. Staramy się w Piśmie naszym o rozmaitość dlatego właśnie, że rozmaite są upodobania czytelników. Kazio już teraz łamie sobie głowę nad obmyśleniem zajmującego przedmiotu do zadania konkursowego, a jeśli tylko Wiochna starania doloży, to bardzo być może, iż otrzyma w nagrodę fotografię, której sobie życzy. Powiastka o owym dukacie troszkę za rozwlekła i o ile się zdaje, musi być tłómaczona lub naśladowana, a w takim razie nie może być drukowana jako utwór oryginalny.

Dzierlatka z nad Zharu ślicznie robi, że chce należeć do konkursu, chociaż nie umie szyć bardzo ładnie. Najpierw nie możemy wymagać, aby robotki takich młodziutkich panienek były doskonałe, a potem każda, byle porządna, przyda się biednemu jakiemuś dziecku i ta myśl powinna być także nagrodą dla robotnicy.

Bławatce z nad Horynia dziękujemy serdecznie za szczegółowy opis wakacy i wyobrażając sobie, jak to tam wesoło było w tém gronku dobranem, żalujemy mocno, że to miłe wiejskie ustronie jest tak daleko. „Wiesław” kosztuje 3 rs. 75 kop.

Malina z Siedlec, jak się okazuje z ostatniego liściku, jest bardzo wyrozumiałą i rozsądną, żebyż to wszystkie korespondentki chciały wejść w położenie redakcyi, która z pewnością wszystkim dogodzić pragnie. Czy liścik będzie drukowany, nie możemy jeszcze upewniać, ale jeżeli tylko rzecz okaże się możliwą, choćby dlatego, aby kochaną Malinę nagrodzić za wyrozumiałość, czynimy to niezawodnie.

Wytrwałość ma mnóstwo dobrych przymiotów, zasługujących na pochwałę. Śliczny to zwyczaj naprzykład nie zaczynać nowej robotki, póki się dawniejsza nie ukończy. Mamy jednak nadzieję że Wytrwałość zdąży jeszcze wykończyć coś ładnego na konkurs. Za obietnicę serdecznie dziękujemy i potrafimy się odwzajemnić.

Kamelia różowa prosi o jaknajprędszą odpowiedź i śpieszne wydrukowanie łamigłówki, a tu jedno i drugie jest niemożliwe. Kiedyż kochane korespondentki zrozumieją, że redakcja nie wszystko jest w stanie uczynić, czego one żądają. Nr. zatracony wysłano powtórnie,

Stokrotkę z nad Granicy prosimy, aby zajrzała do listy ofiar, umieszczanej w Każdym N-rze pisma, a z pewnością i swój datek tam znajdzie, jeśli doszedł do redakcji. W odpowiedziach nie wspominamy o datkach dlatego właśnie, że są wymienione osobno.

Stokrotka polna biała może być pewna, że koszulka, rączką jej uszyta, przyda się ubogiemu dziecku, choćby na nagrodę nie zasłużyła. Im więcej nadejdzie tych robotek, tém lepiej, bardzo byśmy pragnęli, aby wszystkie czytelniczki do tego konkursu należały. Serdeczne uściśnienia przesyłamy kochnej Stokrotce polnej. Dwa egzemplarze pisma wysłał się według adresów.

Zygmunt B. nadesłał łamigłówkę dobrze ułożoną, prosimy go, tak jak wszystkich, o cierpliwość.

Pliszkę z nad Gopla upewniamy, że zawsze odpowiadamy choć w kilku słowach, musiał więc chyba liścik zagać, skoro odpowiedzi nie otrzymała, może też ta odpowiedź opóźniła się tylko, co jest także często rzeczą nieuniknioną. Kazio napisze ze wsi, gdzie wakacje spędza, o egzaminach już dawno zapomniał, któżbo o takich rzeczach, myśli podczas wakacyj?

Zawierucha jest niesprawiedliwy, nie zapomniano o nim wcale w naszej redakcji, żaden też liścik nie pozostał bez odpowiedzi, czasem tylko z konieczności odpowiedź opóźnić się musi. Kazio ubolewa bardzo nad Zawieruchą, jeśli całe wakacje spędza nieboraczek na bruku miejskim.

Porzeczką czarną z nad Bystrzycy ubawiła nas niezmiernie swoim liścikiem. Zkądże jej znów przyszło do główki, że autor "Obrazów historycznych" z powodu kataru przerwał swoje opowiadania? Nigdyśmy o niczym podobnym nie donosili. Jeżeli Miodo urządzi jeszcze kiedy te obrazy, opiszemy je z pewnością. Co do robotki, nie możemy dla nikogo robić wyjątków, jeżeli więc kochana Porzeczką nie odważy się skrajając sama koszulki podług formy, danęj przez mamę, nie powinna do konkursu należeć.

Ukrainkę na Mazowszu przepraszamy, żeśmy jej tyle kłopotu przyczynili; szarady odszukały się przed odebraniem powtórnego wydania i będą wkrótce zamieszczone. Liściki wszystkie musiały być drukowane, trzeba zajrzeć do Skrzynki do listów. Nie mamy w tej chwili adresu Wielkopolanki, ale mieszka, o ile sobie przypominamy, w okolicach Piotrkowa.

Dziurkę kochaną przepraszamy bardzo za łamigłówki, ale dotąd jakoś w każdej były drobne omyłki i pomimo najszczerszej chęci żadnej nie mogliśmy wydrukować. Teraźniejsza za to jest tak dowcipna, że niezadługo będzie zamieszczona.

Muszcę przyjaciółka Dziurka przesyła pozdrowienia i łamigłówkę, którą podamy wkrótce.

Prymulkę białą serdecznie przepraszamy, nim zdążyliśmy odpowiedzieć na pierwszy jej liścik, nadszedł i drugi. Opóźnienie nie z naszej winy pochodzi. Odgałła Prymulka trafnie prawdziwe nazwisko Kalinki, która jest jedną z najmilszych naszych korespondentek. Wyglądamy zapowiedzianej robotki, będzie pewnie tak porządna, jak pismo.

Kalinę przesyła pozdrowienia Prymulka biała, a my przy tej sposobności prosimy o adres Mamy, do której napisać potrzebujemy, a nie wiemy, gdzie spędza wakacje?

Sarenka z nad Moroczku odezwała się przecież, a dawno się to nam od niej należało. Sarenka prosi o szczerość, więc szczerze powiemy, że nie na wszystkie jej zapytania możemy dać objaśnienia, a mamy do tego ważne powody. Pseudonimy autorów tylko za ich zezwoleniem mogą być zamienione w Piśmie na prawdziwe nazwiska. Rodzeństwo R. dawno już nie pisało do redakcji,

Skoczek jest krewnym Figielka i mieszka z nim razem. Zresztą niektóre rzeczy Sarenka odgałła, a najtrafniej to, że pisząca te słowa kocha bardzo wszystkie swoje korespondentki i pragnie gorąco, aby i one ją kochały.

„Kochana Kamelio różowa! Bardzo mi było przyjemnie odnaleźć pomiędzy czytelniczkami „Wieczorów” dawną znajomą, bo bo mnie to rzeczywiście poznałaś w Nałęczowie. Pamiętam cię zawsze dobrze. Donieś mi o Cesi. Wiochna z pod Lublina.”

„Kochana Kalinko! Chociaż mi nie odpowiadałaś, odzywam się znowu, gdyż wiem, kto jesteś. Pierwsza litera twego nazwiska jest S, chodzisz na pensję pani G., jesteś w V klasie. Serdeczne pozdrowienia przesyła ci Wytrwałość.”

„Kochana Stokrotko z Zofiówki! Dziękuję ci serdecznie za szaradę, którąś dla mnie ułożyła. Odgałdam ją, nie wiem, czy potrafię ci się wywdziżyć, nie zapominaj o twojej Stokrotce z nad Granicy.”

„Kochana Pszczółko podolska! Stokrotka musiała być bardzo rada, że pszczółka przyleciała do niej wziąć trochę soku dla zrobienia miodu, ale ja może jeszcze więcej od niej jestem ucieszona, kochana Pszczółko, że ty, patrząc na nią, zapragnęłaś mnie poznać. Nazywam się Ninka, mam lat 10 braciszka i siostrzyczkę, mieszkam blisko Lityna. Bardzo jestem rada, że rozpoczynamy korespondencję, może kiedy się poznamy, czego niezmiernie pragnę, Stokrotka polna biała.”

„Kochana Wisienko! Tak niegrzecznym nie będę, aby miłemu drzewku szkodę wyrządzać i co do tego, niech Wisienka będzie spokojna. Nazywam się Franio, mam lat 14 mieszkam w Warszawie na tém miejscu, gdzie niegdyś przechodził most obronny i brama północna. Przesyłam ci serdeczne pozdrowienia Zawierucha.” (O imieniu i latach swoich donosiła już Wisienka, niech Zawierucha to sobie w Skrzynce do listów odszuka, przyp. red.).

„Kochana Dziuniu! Za miłutki twój liścik nie wiem, jak ci podziękować. Na pytanie donoszę, że pseudonym mój żadnego głębszego znaczenia nie ma. Jeżeli chcesz, możemy przez Wieczory z sobą korespondować, bo mi się bardzo spodobałaś. Ściskam cię serdecznie, twoja Dziurka.”

„Kochana Prymulko różowa! Za pozdrowienie pozdrowieniem ci dziękuję, a ponieważ jesteśmy imienniczkami z pseudonymów i tylko kolorem się różnimy, więc powinniśmy się poznać, choćby przez ukochane Wieczory. Odpisz czy zgadzasz się zostać przyjaciółką nieznajomej lecz życzliwej Prymulki białej.”

„Kochana Brzózko płacząca! Liścik twój, pierwszy otrzymany przez Wieczory, bardzo mnie ucieszył. Śpieszę ci donieść, że nazywam się Misia, mieszkam na wsi pod Słuckiem, mam trzy siostry i z jedną z nich, młodszą odemnie Janinką (Poziomką litewską) uczę się w domu. Napisz mi o sobie i dlaczego wybrałaś tak smutny pseudonym. Twoja Sarenka z nad Moroczku.”

„Droga moja Bławatko z nad Horynia! Miłutki twój pseudonym podobał mi się bardzo, byłam też niezmiernie rada, gdyś się do mnie odezwała. Nie mogąc się poznać, musimy poprzestać na korespondencji. Przeczytaj odpowiedź moją do Brzózki płaczącej, a dowiesz się tego, o co mnie pytałaś. Całuję cię serdecznie Sarneczka z nad Moroczku.”

„Kochani Figielku i Bero słucka! Choć wy mnie nie znacie, ja wiem jednak, że mieszkacie w L. nazwisko wasze zaczyna się od C. imię Figielka od S. a Bery i Latawca od A. że ten ostatni był pierwszym uczniem w I klasie w Sł. a teraz przeszedł do II. Imię waszej nauczycielki zaczyna się od J. Muszę dodać, że tych szczegółów dowiedziałam się nie od redakcji. Zgadnijcie, kim jestem? Sarenka z nad Moroczku,”

Na kolonie letnie złożyli: I. M. kop. 35. — T. G. kop. 39. — Sobótka kop. 49 — Różyczka polna rs. 1 — Prymulka różowa rs. 1 Janinka Cz. rs. 1. Na kościół praski Tulipan kop. 50 — Wilczek z nad Bohu z siostrzyczkami rs. 2. Na pogorzalców Stryja: Tulipan kop. 50.